

## Życie polityczne

Maraton wyborczy wreszcie się zakończył, można więc bez ryzyka wspierania lub atakowania którejkolwiek ze stron przyjrzeć się temu, co jego trakcie się ujawniło i wystawiło - pisze Dariusz Kosiński.



*zdj. Andrzej Rybczyński/PAP*

Nie mam oczywiście zamiaru ani kompetencji, by zajmować się jakąś analizą politologiczną czy socjologiczną tej adaptacji "Kroniki zapowiedzianej śmierci". Ale nie byłbym sobą, gdybym oparł się pokusie powiedzenia kilku słów o dwóch finałowych aktach, czyli telewizyjnych debatach Ewy Kopacz i Beaty Szydło oraz liderów najważniejszych partii. Ich przebieg i rezultaty pozwalają na postawienie co najmniej kilku tez dotyczących władzy i przedstawienia (przedstawienia a nie performansu,

bo tym, że "performance rules" wie każde dziecko i już za chwilę ktoś to wypisze na murze obok "Wisła Pany").

Poniedziałkowa debata dwóch liderek odbywała się w porze, którą moje pokolenie kojarzy z Teatrem Telewizji. Młodszym przypomnę, że był taki czas, kiedy telewizja publiczna nie oglądając się na oglądalność realizowała zadania kulturotwórcze i nadawała co poniedziałek przedstawienia teatralne. Było to oczywiście w ciemnych czasach dyktatury komunistycznej i po latach trudów udało się telewizji pozbyć tego reliktu zniewolenia. Te poniedziałkowe przedstawienia, dodam, były w większości dość tradycyjnymi inscenizacjami tekstów literackich, w których aktorzy wypowiadali słowa postaci, bez własnych dodatków i improwizacji montowanych w trakcie prób przez dramaturga. Jednym słowem - spełniony sen teatralnych konserwatystów. Potem władzę nad Teatrem TV przejęli filmowcy i złota epoka się skończyła, ale to już zupełnie inna historia.

Dawne przedstawienia poniedziałkowe (te gorsze) przypominały mi się w trakcie debaty, bo oglądając ją miałem nieodparte wrażenie, że jest to precyzyjna inscenizacja dużo wcześniej napisanego scenariusza. Aktorki - niestety bardzo słabe technicznie i pozbawione scenicznej charyzmy - recytowały cudze słowa ze szkolną intonacją oraz towarzyszeniem kilku stereotypowych gestów i min. Obie robiły wszystko, by nie wypaść z założonej i przećwiczonej roli. Nawet podsuwane przez sympatyzujące z każdą z pań dziennikarki pytania dające szansę na wyrazisty występ, odróżnienie się od przeciwniczki czy nawet jej zręczne zaatakowanie nie były wykorzystywane. I Ewa Kopacz, i Beata Szydło realizowały instrukcje reżyserskie z wiernością godną aktorów Kazimierza Dejmka. Efekt był dość porażający: nie myślę tak źle o obu polityczkach, by sądzić, że nie mają własnego zdania i woli, że są tylko marionetkami w rękach kierujących nimi mężczyzn (obu paniom zarzucają to wprost ich polityczni przeciwnicy). Cóż się więc stało? Moim zdaniem mieliśmy do czynienia z modelowym, POPiSowym pokazem władzy, jaką procedury przedstawieniowo-dramatyzacyjne sprawują nad współczesnym życiem zbiorowym. Obie panie były, albo zostały przekonane, że ta telewizyjna debata to najważniejszy punkt kampanii i że przede wszystkim nie można jej przegrać. Ponieważ nasze spory polityczne od lat toczą się (z niewielkimi wariantami) wokół tych samych kwestii, łatwo było przewidzieć, jak wyglądać będą pytania i odpowiedzi. Na wszelki wypadek, oba równie przejęte wagą wydarzenia sztaby ustaliły razem z telewizyjnymi producentami i dziennikarzami szczegółowy regulamin, precyzujący co do sekundy kolejność i czas wypowiedzi. Te scenariuszowe ramy były tak wąskie, że nie pozostawiały praktycznie marginesu na nic innego, jak tylko wypowiedzenie kolejnej partii odpowiednio okrągłych zdań z dominacją kampanijnych haseł. W efekcie dwie liderki (podkreślam: liderki!) dwóch największych ugrupowań politycznych dzisiejszej Polski przez 70 minut nie powiedziały swoim wyborcom niczego wartego powiedzenia. Debata jako taka zakończyła się klęską - była nie tylko nieudana i nudna, w ogóle nie była debatą, tylko zestawem dwóch równoległych monologów propagandowych. Jedno z najbardziej atrakcyjnych przedstawień politycznych zostało zniszczone od środka przez ludzi mianujących się i funkcjonujących jako specjaliści od takich przedstawień właśnie.

Ale nie był to tylko, jak sądzę, efekt lęku przed możliwą wpadką, niewiary w wylansowane i wspierane przez siebie liderki i braku wiedzy o mechanizmach rządzących przedstawieniami (może jednak macherzy od politycznego PR powinni czasem zajrzeć do teatru?). Był to także

paradoksalny efekt działania władzy przedstawieniowej, która tym razem doprowadziła do zniszczenia przedstawienia. I ten paradoks właśnie wydaje mi się wyjątkowo ciekawy: ludzie przekonani o znaczeniu debaty doprowadzili do unicestwienia jej sensu i wyprania jej z atrakcyjności i wartości, byle tylko samo przedstawienie mogło się odbyć. To ono - samo czyste wystawienie - jest najważniejsze. Nie chodzi o to, co masz do powiedzenia, czy pokazania, ale o to, by zająć scenę i dać się na niej zobaczyć jak największej liczbie ludzi. Jest to dokładnie ten sam mechanizm, jaka rządzi zachowaniami celebrytów - ludzi znanych z tego, że są znani. Swego czasu Krzysztof Rutkowski w "Ostatnim pasażu. Prze-powieści o widowisku wcielonym" pisał o tym mechanizmie jako o zaprzeczeniu polityki w rozumieniu Arystotelesa i Hanny Arendt. Ta książka została w Polsce niemal zupełnie przeoczona. Po debacie i wyborach czas może byłoby sobie tę lekturę przypomnieć...

Debata widziana bez uprzedzeń pokazała jasno, że życiem politycznym nadal rządzą władcy najważniejszej sceny - telewizje. Inscenizacja kluczowego momentu debaty politycznej wyglądała bowiem tak, że w pustym studio stanęły dwie wystraszone kobiety, poddane czasowym rygorom pilnowanym przez troje telewizyjnych dziennikarzy, którzy zadawali im pytania, wyznaczając tym samym tematy, o których może być mowa. A te kobiety, to - przypomnę ponownie - nie byle kto, ale dwie panie premier - obecna i przyszła - więc jedne z najważniejszych osób w państwie, uosobienia władzy. Władzy nad telewizją nie mają jednak żadnej - to dziennikarze decydują o czym i jak długo będą mówić w ramach tej - niezwykle ponoć ważnej - "Rozmowy o Polsce".

Od lat powtarza się przy różnych okazjach, że telewizja straciła dawne znaczenie, że w dobie Internetu, platform cyfrowych, wielości kanałów i źródeł informacji, nie może już odgrywać dawnej roli właścicielki głównej medialnej sceny. Wolne żarty! Gdyby tak naprawdę było, to politycy już dawno zrezygnowaliby z wpływania na telewizję i nie mielibyśmy przy każdej zmianie władzy wręcz beczelnych prób jej przejęcia. Gdyby tak było, partia nie istniejąca w telewizji a intensywnie się promująca na przysłowiowych już portalach społecznościowych wygrywałaby wybory, a nie cieszyła się jak dziecko z wzrostu poparcia o 1,5 procent. Wzrostu, który zawdzięcza tylko udanemu telewizyjnemu występowi lidera...

Ten występ, występ Adriana Zandberga w debacie liderów partii, to najlepszy dowód na to, że telewizja nadal jest pierwszą siłą. Możecie sobie wypisywać na FB i Twitterze, co chcecie, możecie wrzucać fotki i posty, możecie przygotowywać najśmieszniejsze memki świata, ale dopóki wszyscy inni mogą robić to samo, wpływ i skuteczność waszej działalności jest rozproszony i w efekcie niewielki. Tymczasem telewizja zachowuje znaczenie właśnie dlatego, że nie każdy może w niej wystąpić, a nawet występując - nie ma władzy nad czasem i miejscem swego przedstawienia. Jeśli więc już uda ci się w niej zaistnieć, to dowodzisz, że nie jesteś jak każdy. W tym sensie władza telewizji nie jest medialna, bo nie chodzi tu o przekazywanie czegokolwiek. Jest sceniczna, bo dotyczy prawa do zajmowania miejsca i czasu.

Przedwyborcza debata liderów tę władzę ujawniła wyraźniej niż o dzień wcześniejsza debata Kopacz-Szydło. Ta druga obnażyła ją poprzez poddanie się jej regułom tak całkowicie, że nie pozostało w niej nic poza zajmowaniem czasu i miejsca. W tej pierwszej Adrian Zandberg z powodzeniem wykorzystał wyjątkową szansę, jaką dało mu dopuszczenie do sceny, i swoim jednym udanym występem nie tylko podniósł dwukrotnie wynik Partii Razem, nie tylko doprowadził do usunięcia z parlamentu koalicji Leszka Millera i Janusza Palikota, ale też skutecznie wyszedł z pola politycznego folkloru. Był to więc jeden z najskuteczniejszych performansów politycznych ostatnich dekad i najlepszy dowód na moc telewizyjnej sceny.

Ale w czasie debaty liderów ta moc została też ujawniona w inny sposób: po rzeczywiście absurdalnym pytaniu o służbę zdrowia zadany przez Dianę Rudnik w części debaty o ustroju państwa Paweł Kukiz nie wytrzymał i zakwestionował władzę reprezentujących telewizję dziennikarzy. Zadał całkiem sensownie i słusznie pytanie, kto i dlaczego tak właśnie ustawia przebieg debaty. Zadał pytanie o realną władzę, tym samym - jak na rasowego enfant terrible przystało - powiedział głośno to, czego mówić nie wolno. Został natychmiast skarcony, a medialne komentarze po debacie jednoznacznie uznały go za przegranego. Tymczasem jego wynik wyborczy (czego nikt chyba nie zauważył) był dużo lepszy od oczekiwań. Przypuszczam, że mógł to być dokładnie taki sam efekt debaty, jak w przypadku przedstawiciela Partii Razem, tylko - by tak rzec - o odwrotnym wektorze. O ile Zandberg zręcznie wykorzystał sceniczną władzę telewizji, by zaistnieć w niej na jej prawach, o tyle Kukiz ją zakwestionował, współgrając w ten sposób z dominującym poczuciem, że jest to

władza niekontrolowana i nieuprawniona. Nie jestem miłośnikiem ideologii, które były lider "Piersi" i główny aktor jednej z moich ulubionych polskich komedii dziś reprezentuje i wpuszcza do parlamentu. Ale nie można mu odmówić autentyczności i skuteczności w ujawnianiu ukrytych na powierzchni reguł gry. Dowiódł jej w czasie debaty i dlatego to on ją wygrał, a nie wpisujący się w nie w funkcji błazna Janusz Korwin-Mikke.

Czy różnice między oboma debatami pokazują, że inna polityka rzeczywiście jest możliwa? Nikt tego oczywiście nie wie, ale już choćby chwilowe przerwanie samonakręcającego się i samoniszcącego POPiSu niepodzielnie rządzącego Polską od 10 lat zasługuje na choćby kilka oklasków.